

Totalitaryzm jako „devil-term”

Problem z god- i devil-terms wydaje się oczywisty: są one raczej narzędziem retorycznej walki a nie argumentem w merytorycznym sporze



Problem z god- i devil-terms wydaje się oczywisty: są one raczej narzędziem retorycznej walki a nie argumentem w merytorycznym sporze

Upadek reżimów totalitarnych w Europie Środkowej i Wschodniej zdawał się stwarzać znakomitą okazję do pogłębionej refleksji na temat totalitaryzmu, z tej choćby przyczyny, że znikły cenzuralne,

instytucjonalne i polityczne uwarunkowania, które taką debatę wcześniej utrudniały czy uniemożliwiały. Tak się jednak nie stało. Debata na temat totalitaryzmu została zamknięta, zanim na dobre się w Polsce rozpoczęła. Wiele osób uznało, że rzecz nie jest już ciekawa, dotyczy bowiem zamkniętego okresu historii, z którego nie można wiele dowiedzieć się ani o rzeczywistości, w której żyjemy, ani o nas samych. Zakwestionowano też prawomocność samej kategorii totalitaryzmu jako użytecznego narzędzia historycznego opisu czy filozoficznej analizy. Brak poważnych prac na temat totalitaryzmu nie oznacza jednak, że samo słowo znikło z naszego języka. Tyle tylko, że wiedzie ono teraz żywot nie w debacie naukowej ale raczej publicystycznej. Moje uwagi dotyczą właśnie tego, w jaki sposób jest w tej debacie wykorzystywane i rozumiane.

Richard Weaver w swej kiedyś głośnej, a dziś zapomnianej książce *Ethics of Rhetoric*, poświęconej analizie politycznego dyskursu, zwrócił uwagę, że w każdym kraju w debacie publicznej dają się wyróżnić dwa specyficzne kategorie terminów, które określił jako *god-terms* i *devil-terms*. Słowa te, pochodzące z języków specjalistycznych - naukowego, filozoficznego czy teologicznego - tracą pierwotną złożoność, a nawet w dużym stopniu odrywają się od swojego początkowego znaczenia, stając się jedynie sposobem wyrażenia aprobaty bądź dezaprobaty. Choć na pierwszy rzut oka mają one charakter deskryptywny, w istocie okazują się preskryptywne i perswazyjne. *God-* i *devil-terms* używać można na wiele różnych sposobów, bo stałe jest w nich nie tyle pole znaczeniowe, ale kwalifikacja emocjonalna - jedne terminy budzą automatycznie pozytywne odczucia, inne negatywne. Nie jest jednak tak, że *god-* i *devil-terms* tracą w ogóle wszelki związek ze źródłowym polem znaczeniowym - często dochodzi do utożsamienia jakiegoś elementu znaczenia z całym terminem. Możliwe więc staje się używanie tego samego słowa w zupełnie przeciwstawnych znaczeniach. Okrzyk "to niedemokratyczne!" może dotyczyć zarówno zniesienia kary

śmierci (god-term "demokracja" jako wola większości obywateli), jak i jej wprowadzenia ("demokracja" jako poszanowanie podstawowych praw człowieka).

Siła god- i devil-terms jest tak wielka, że w dużej mierze definiują one przestrzeń debaty publicznej i uprawnione w niej środki. Nie oznacza to, że wszyscy zaczynają się nagle ze sobą zgadzać, ale że starają się wyrażać swoją niezgodę bez naruszania porządku języka debaty określanego przez god- i devil-terms. Tak więc częściej spotkamy dzisiaj konserwatystę, który powie, że wolność trzeba inaczej rozumieć, niż takiego, który otwarcie wyrazi swój sceptycyzm wobec wolności jako najwyższej wartości w porządku ludzkiego bytowania. Temu też należy przypisać gwałtowność negatywnych reakcji, gdy profesor Ryszard Legutko zdradził się w tytule swej książki z brakiem sympatii do innego god-term naszych czasów - tolerancji.

Problem z god- i devil-terms wydaje się oczywisty: są one raczej narzędziem retorycznej walki a nie argumentem w merytorycznym sporze, choć taki argument właśnie udają, dlatego częściej dyskusję uniemożliwiają niż rozjaśniają. Totalitaryzm jest jednym z devil-terms współczesnych debat publicznych. Przyjrzyjmy się teraz kilku typowym sposobom jego wykorzystywania.

Zacznijmy od takich sposobów używania terminu totalitaryzm, które są bezpośrednio pochodną poważnych sporów naukowych, przede wszystkim sporu o definicję totalitaryzmu. Istnieje oczywisty związek pomiędzy przyjętą definicją totalitaryzmu a oceną PRL-u i wywodzącej się z niego postkomunistycznej formacji politycznej. Jeśli totalitaryzm zostaje zdefiniowany - jak to się często dzieje - jako stan totalnej kontroli i totalnego zniewolenia ideologicznego, zinternalizowanego przez obywateli, łatwo stać się może terminem nie z tego świata. To zaś prowadzi do konstatacji, iż jest on jedynie pewnego rodzaju modelem

idealnym, który z natury rzeczy nigdy nie mógł zostać zrealizowany: totalitaryzm jest więc złem, złem zdemaskowanym i surowo potępionym, ale tak naprawdę zawsze niedokonanym. Przyjmując taką interpretację totalitaryzmu można co najwyżej określać poziom przybliżenia się do niego, np. stwierdzając, że większe natężenie cech mu właściwych zaobserwować można w Polsce przed 1956 r., a zdecydowanie mniejsze w okresie późniejszym. Takie rozstrzygnięcie teoretyczne nie miałyby może większego znaczenia, gdyby nie to, że można z niego wyciągnąć bardzo niepokojące wnioski na temat istoty PRL-u. Jeśli bowiem nie była totalitaryzmem, czym właściwie była? Totalitaryzm, którego istnienie zależy nie od instytucjonalnej formy czy metod sprawowania władzy, ale od skuteczności inżynierii społecznej - np. poziomu indoktrynacji obywateli - albo szczerości ideologicznych deklaracji członków partii rządzącej, zdaje się prowadzić na manowce: skłania do interpretowania PRL-u w kategoriach pragmatycznej a nie ideologicznej polityki, a w końcu do uznania okresu po roku 1956 za mięką formę autorytaryzmu z geopolitycznej konieczności, zatem w jakiejś mierze uzasadnionej, a przynajmniej usprawiedliwionej. Transformacja formacji rządzącej - jeśli miała ona charakter pragmatyczny - do działania w demokracji jest niekontrowersyjna: to, co pragmatyk czynił wcześniej, było jedynie skutkiem uwarunkowań, w jakich przyszło mu działać, teraz zaś bez trudu dostosuje się do nowej sytuacji. Z formacją ideologiczną rzecz jest znacznie trudniejsza - jej stopień niedopasowania musi być na tyle wysoki, że można zakładać, iż nie pozostanie bez poważnych konsekwencji dla jakości życia politycznego.

Bezpośrednio z tą problematyką wiąże się także kwestia "hierarchii totalitaryzmów". Spektakularne jej przejawy (dyskusja wokół Czarnej księgi komunizmu we Francji i ostre reakcje na wystąpienie minister kultury Łotwy na targach książki w Niemczech w 2004 r.) pokazują, jak bardzo drażliwy i sporny to temat. Zgoda co do istnienia podobieństw

komunizmu i nazizmu ma dla wielu uczestników debaty charakter jedynie warunkowy i ich zdaniem w żadnym razie nie może prowadzić do wniosku o równorzędności totalitaryzmów. Systemem bardziej zbrodniczym pozostaje zawsze nazizm, albo - z charakterystyczną dla debat publicystycznych precyzją - faszyzm. Można tu zresztą zaobserwować symptomatyczną różnicę pomiędzy Europą Zachodnią i krajami, które należały do sowieckiej strefy wpływów - w tych drugich myśl o równorzędności totalitaryzmów jest krytykowana, lecz właściwie swobodnie artykułowana, na Zachodzie (zwłaszcza w Niemczech i Francji) praktycznie niedopuszczalna i dyskwalifikująca. Tę różnicę można chyba tłumaczyć - bardzo kwesztę upraszczając - wskazując na to, że w naszej części Europy mamy tu do czynienia jedynie z argumentem biograficznym, podczas gdy na Zachodzie także z obezwładniającym argumentem moralnym. W Polsce mniejszą zbrodniczość komunizmu uzasadnia się najczęściej dobrymi intencjami działaczy i szlachetnymi celami, które zamierzali osiągnąć. Pozwala to wpisać akces do komunizmu w długą historię nonkonformistycznych strategii lewicowej inteligencji dążącej do modernizacji społeczeństwa. Na Zachodzie ten argument także jest obecny, ale decydującą rolę odgrywa inny - uznanie Holocaustu za zło absolutne. Uznanie równorzędności opresywności komunizmu odczytywane jest jako próba relatywizacji, pomniejszenia zła absolutnego - stąd też pojawiające się wobec tych, którzy upierają się przy równorzędności totalitaryzmów, zarzuty o antysemityzm.

Przyjrzyjmy się teraz przypadkom, gdy wojuje się nie o znaczenie pojęcia, ale za jego pomocą. Pierwszy jest najpewniej skutkiem zacierania się w publicystyce rozróżnienia autorytaryzm - totalitaryzm. Nic to zresztą dziwnego: oba te pojęcia w najbardziej popularnej współcześnie typologii ustrojów politycznych są przeciwstawiane god-term, jakim jest demokracja, oba mają silnie negatywne konotacje. W efekcie dawny wynalazek szkoły frankfurckiej rozpropagowany przez

niektórych amerykańskich socjologów - teoria osobowości autorytarnej - często odżywa w pojawiających się obecnie oskarżeniach o "totalitarne skłonności". Możliwe, że przyczyną jest także pewna kompromitacja reductio ad Hitlerum - nazywania każdego negatywnego (czy raczej po prostu nie lubianego zjawiska) faszyzmem. "Totalitaryzm" użyty w tej funkcji brzmi bardziej poważnie i uczenie. Owe "skłonności totalitarne" są pojęciem tyleż niekonkretnym, co pojemnym - bo mogą za nie zostać uznane wszelkie przejawy "mocnego myślenia", podkreślania związku praw i powinności, czy sugestie budowania prawnoustrojowego porządku na fundamencie etyki czy absolutyzacji wartości. Totalitaryzm jest w tym sposobie myślenia - czy raczej mówienia i pisania - utożsamiany z ograniczeniem wolności, likwidacją pluralizmu, albo próbami kielżnienia woli jednostki. W istocie rzeczy totalitaryzmem może się okazać każda forma wyjścia poza reguły demokracji proceduralnej. Ci, którzy chętnie posługują się w ten sposób pojęciem totalitaryzmu, zdają się uważać, że każde, choćby najskromniejsze i najostrożniejsze, roszczenie do prawdy zawiera w sobie totalitarne ziarno. (Ziarno zaś jest tożsame z rośliną, która - jeśli nie zostanie zdruzgotane - w sposób absolutnie konieczny i właściwie automatyczny wyrośnie, przybierając najbardziej monstrualną i przerażającą formę...) Mocne" myślenie okazuje się jedynie repetycją totalitarnej ideologii. Kompromitacja jednej idei ma zdaniem poszukiwaczy "totalitarnych skłonności" uzasadnić tezę o niebezpieczeństwie wszelkich idei w polityce. Czasem można mieć wręcz wrażenie, że totalitarna jest dla nich każda ortodoksja, zaś bunt przeciw totalitaryzmowi nie jest niczym innym niż wystąpieniem przeciw schematycznej i petryfikowanej przez ortodoksję rzeczywistości. W postaci kapłana zawierają się w sposób immanentny owe totalitarne skłonności, błazen natomiast ma zawsze zadatki na to, by stać się antytotalitarnym buntownikiem.

Specyficznym wariantem tego ujęcia jest postmodernistyczna próba

uczynienia z totalitaryzmu narzędzia zwalczania cywilizacji europejskiej. Owa niebezpieczna ideologiczność i pretotalitarność miałyby kryć się już to w nowoczesności, mechanizacji i biurokracji, już to w samej idei racjonalności czy dwuwartościowej logice. Skoro totalitaryzm jest skutkiem najgłębszych założeń cywilizacji europejskiej, owej greckiej dominacji Tego Samego i Jednego, którą z zapałem godnym lepszej sprawy tak wytrwale zwalczał Jacques Derrida, możliwość jego powrotu jest zawsze otwarta, a jedynym na to remedium jest odrzucenie owych fundamentalnych założeń i stworzenie alternatywnego projektu kultury europejskiej. To stanowisko jest w pewnej mierze radykalizacją Popperowskiej krytyki projektu doskonałego państwa Platona. O ile jednak Popper oskarża o pretotalitarność filozofię Platona, o tyle pod postmodernistycznym pręgierzem staje filozofia jako taka, będąca jedną z najgroźniejszych postaci opresywnego i przesłaniającego prawdziwą naturę rzeczywistości logocentryzmu.

Szermujący wyrażeniem "totalitarne skłonności" mają najczęściej na myśli specyficznym pojmowany "fasyzm", po prawej stronie totalitaryzm kojarzy się natomiast najczęściej z komunizmem, czy raczej z tym, co uważa się za jego jądro. W tym przypadku totalitaryzm okazuje się być terminem obejmującym wszystko, co można uznać za owoce oświecenia - totalitarne są więc wszelkie lewicowe czy liberalne pomysły i rozwiązania, jeśli przypominają - choćby w niewielkim stopniu - te, z którymi mieliśmy do czynienia w totalitaryzmie. O ile więc w poprzednim wypadku totalitaryzm sprowadzany był do pewnej struktury politycznego działania, o tyle tutaj nacisk położony zostaje na treści konkretnych rozwiązań. Totalitarna może więc okazać się tendencja do centralizacji i unifikacji, Unia Europejska, neutralność światopoglądowa państwa, projekt wprowadzenia wychowania seksualnego do szkół, czy prawo przyzwalające na aborcję. Totalitaryzm opisuje tutaj wszystko, co zostaje rozpoznane jako forma walki z

tradycjonalistycznym łaodem. Oba te użycia - totalitaryzm jako mocne myślenie i totalitaryzm jako projekt modernizacyjny - zdają się być lustrzanymi odbiciami: oba, choć tak do siebie niepodobne, chętnie nawzajem nazywają się totalitaryzmem.

Totalitaryzm jest też w naszych debatach obecny jako argument krytyczny zwracany przeciw ruchom nowolewicowym, w których niektórzy komentatorzy widzą kolejną aktualizację tego, co można by nazwać totalitarną strukturą myślenia - to znaczy taką, w której wychodząc od realnego lecz cząstkowego problemu przechodzi się nie do propozycji równie cząstkowego rozwiązania, ale do specyficznego uogólnienia - jedna przesłanka prowadzi do ogólnej teorii wszystkiego, zaś rozwiązanie owego cząstkowego problemu okazuje się niemożliwe bez całkowitej reinterpretacji rzeczywistości dokonywanej w oparciu o ową ideologiczną przesłankę. Towarzyszy temu silna polaryzacja - świat wedle Schmittowskich reguł zaczyna dzielić się na sprzymierzeńców i wrogów, wrogów zaś nie można w istocie przekonywać, lecz jedynie zwyciężać. Ta wola zmiany świata poprzez narzucenie mu prostego, bo jednowymiarowego rozwiązania, wraz ze specyficzną formą zaciętrzewienia, która wielu kojarzy się z fanatyzmem wyznawców totalitarnych ideologii, sprawia, iż porównania ruchów nowolewicowych z totalitaryzmem nie są całkowicie bezzasadne, choć patrząc na problem chłodnym okiem, nie wydają się jednak w pełni uzasadnione. Można by powiedzieć, że zależy to nieco od tego, jakie obrazy pojawiają się automatycznie w naszych umysłach, gdy przywołany zostaje totalitaryzm. Jeśli owym obrazem jest Orwellowskie państwo w pełni kontrolujące język, zachowanie i sposób myślenia poddanych czy nawet ich historię - wtedy istotnie poprawność polityczna, czy zachłanność legislatorów, wdzierających się coraz brutalniej we wszystkie sfery naszego życia mogą zostać uznane za rodzaj wstępu do totalitaryzmu. Jeśli jednak owym obrazem jest raczej sowiecki gułag, czy ubeckie kazamaty, wtedy należy bardziej ostrożnie

posługiwać się takim porównaniem.

Z pewnością wciąż możliwa i potrzebna jest refleksja naukowa na temat totalitaryzmu. Nie należy jednak łudzić się, że znacząco wpłynie ona na sposób, w jaki termin "totalitaryzm" jest obecny w języku debaty publicznej. Można zasadnie twierdzić, że rzecz ma się wręcz odwrotnie: to złe i upraszczające sposoby używania pojęcia w debacie publicystycznej wywierają poważny wpływ na debatę akademicką - i z pewnością nie jest to wpływ błogosławiony.

Walka z uzusem, z ukształtowanym przez lata polem znaczeniowym słów nie ma rzecz jasna zbyt wielkiego sensu i nie rokuje wielkich nadziei na zwycięstwo. Wniosek, z tego, co tutaj zostało powiedziane, jest więc dość banalny, co wcale nie znaczy, że pozbawiony sensu: ważyć słowa trzeba zawsze, ale szczególna ostrożność zalecana jest przy posługiwaniu się god- i devil-terms, bo słowa te często w dyskusjach publicystycznych nie rozjaśniają a jedynie obezwładniają i paraliżują.

Tomasz Merta

Przeczytaj więcej o książce *Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma Wybrane* Tomasza Mertę.